

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 5 marek (za odnośnienie do domu dopłaca się 25 fenig. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 6 marek

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 2½ mark.; na 1 stronie okładki 1 mark. 50 fenig.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 75 fenig.; na 3-ej stronie okładki i ogłoszenia zwykłe 65 fenig. Kronika towarzysząca, Nekrologi, Nadesłane po 1 mark. 90 fenig. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie 25 m., przy Nadesłanych 2½ m.; na ostatniej stronie 17 m. 50 fenig. i wewnątrz 15 marek. Artykuły reklamowe 437 marek 50 fenigów za stronę. Załączniki po 25 marek od tysiąca.

Adres Redakcyi: WARSZAWA, ZGODA № 1.

FILIA W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEN”, Piotrkowska № 81.

ŚWIAT

Rok XII. № 19 z dnia 12 maja 1917.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.



Franc. Tow. Ubezpieczeń na Życie

„L'URBAINE”

Ułgi na wyp. niezł. do pracy
Filia dla Kr. P. Marszałk. 136

9967 Oddział miejski: ulica Moniuszki Nr. 2.
Biuro Kijowskie: Kijów, ulica Kreszczatik Nr. 48.
Wilno, róg Ś-to Jerskiej i Kazańskiej Nr. 9.

Wydawnictwo Tow. Akc.

S. ORGELBRANDA S-ów

Encyklopedia Handlowa

2 tomy

15028

Opr. Mk. 50.

RZYM A ROSYA.

Stolicę apostolską wiązały dotąd z Rosyą dwie rzeczy: fakt istnienia piętnastu milionów katolików pod rosyjskim berłem i nadzieja nawrócenia Rosyi. Z piętnastu milionów pozostało trzy, za to nadzieja, dzięki przewrotowi, wzrosła znacznie. Pierwsze kroki nowego rządu nacechowane są szerokim duchem wolności. Dla uciśnionego tak długo katolicyzmu zdaje się wschodzić zorza. A wobec tej zorzy jaką będzie w najbliższej przyszłości postawa Rzymu, jaką w niej rolę przeznacza on polakom i jakie to zupełne odwrócenie się stosunków rosyjskich może im przynieść następstwa?

Od pobożnej Księżny Łowickiej aż do najnowszych czasów nie brakło nigdy w Polsce szlachetnych serc, marzących o apostolskiem posłannictwie narodu umęczonego wobec jego oprawców i posłannictwu temu gotowych oddać się w ofierze. Jedni chcieli śladem papieża Urbana Wschód podbić dla Zachodu przez bratnich rusinów, inni mniemali, że sybirskie gościńce, kościół polskimi usłane, staną się krwawą ceną odrodzenia Rosyi przez Polskę. Trudno się dziwić, że marzenia takie znalazły oddźwięk w Rzymie. Wprawdzie od pewnego czasu w środowiskach katolickich we Francji i Wło-

zech zaczęto coraz częściej twierdzić (może nie bez impulsu najbliższych naszych sąsiadów), że polacy stanowią główną przeszkodę w nawróceniu się Rosyi, dziś jednak głosy te przycichły, a na ich miejsce podnoszą się inne, dowodzące, że katolickie interesy w Rosyi wymagają zachowania ścisłej łączności między nią a Polską i że Polsce nie wolno sprzeniewierzyć się apostolstwu, zrywając więź z Rosyą.

Czy zwolennicy takiego misjonarstwa mają przytem naprawdę i wyłącznie na oku postęp katolicyzmu — badać nie będziemy. To pewne, że w chwili ważenia się naszej przyszłej doli trudno przewidzieć, który głos znajdzie posłuch, a wiadomo, że nieraz mało znaczące przyczyny wywołują rozstrzygające skutki. I dlatego ze wszystkimi należy się liczyć i w położeniu dokładnie orientować.

Przedewszystkiem nie ulega wątpliwości, że dla katolicyzmu otwierają się w wolnej Rosyi szerokie widnokręgi, do których nawet w konstytucyjnym caracie nie byłby nigdy znalazł dostępu.

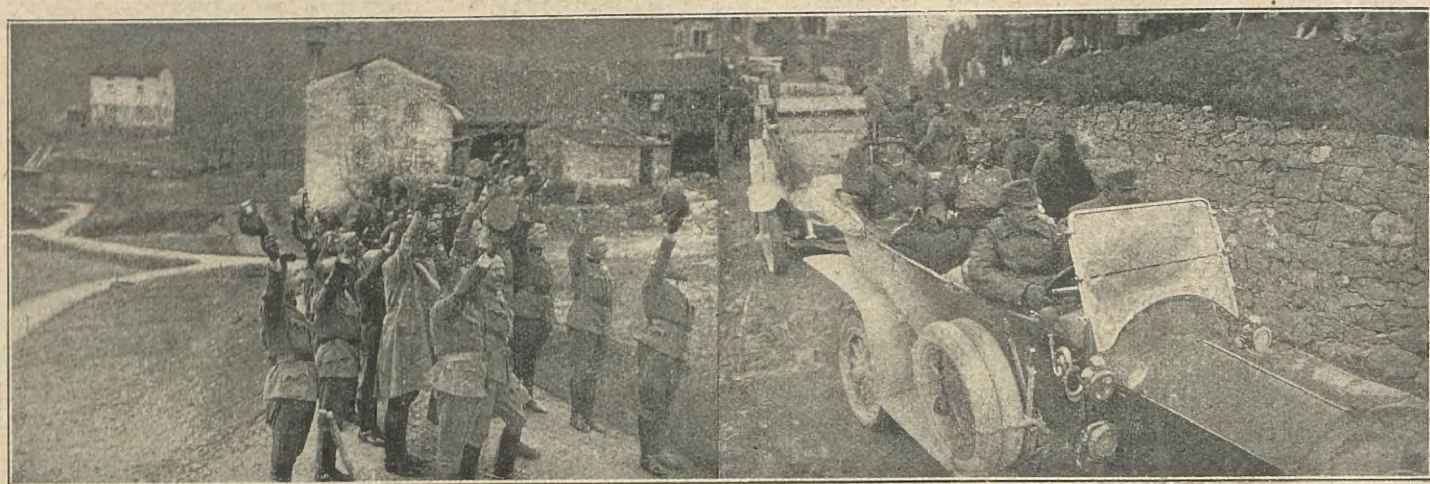
Cerkiew rosyjska stała nie — siłą wewnętrzną, ale przywilejem, policją i żandarmem. Pozbawiona pomocy państwa, i zasobów pienię-

żnych, rychło zaczęła kruszyć się i rozpadać. Spadek po niej weźmie wprawdzie przedewszystkiem sekciarstwo i protestantyzm, tkwiący na dnie znacznej większości najbardziej rozszerzonych sekt, zwłaszcza sztundyzmu, ale jako reakcja przeciw racjonalistycznemu kierunkowi protestantyzujących sekt pojawi się niewątpliwie wśród umysłów głębszych i pozytywnie wierzących prąd ku katolicyzmowi.

Prąd ten wywołała już za panowania Pawła i Aleksandra I działalność jezuitów wśród stołecznej arystokracji, a choć rządy mikołajewskie wyniszczyły niemiłosiernie wszystkie jego ślady, i w tej epoce uciśku spotykamy jednak w wyższych sferach rosyjskiego społeczeństwa wydane postacie konwertytów, żeby tylko wspomnieć o o. Augustynie Szuwałowie, o jezuitach Gagarynie i Martynowie, o ks. Zeneidzie Wołkońskiej i generałowej Świeczyn, wreszcie o Wł. Sołowiowie. Prąd ten jednak nie sięgnął głębiej, nie dotarł do mas. Próby czynione w tym kierunku po ukazie tolerancyjnym z r. 1905 zawiodły. Katolicyzm przyjęło może tysiąc, może dwa tysiące osób, mniejsza część zachowała przytem obrządek greko-rosyjski. Coprawda zgłosiło swą przynależność do kościoła katolickiego blisko pół miliona urzędowych wyznawców prawosławia, ale byli to bądź unicy chełmscy, bądź białoruscy katolicy, zapisani wbrew woli w księgach panującego wyznania. Byłoby takich więcej, gdyby rząd nie pospieszył stłumić nowymi represjami owego ruchu nie tyle konwersyjnego, co wyzwolenczego.

Jak będzie w przyszłości?

Przedewszystkiem przyszłość ta zarysowuje się wyraźnie w dzielni-



Cesarz Karol zwiedzał w przeszłym tygodniu front włoski pod Isonzo. Ludność witała cesarza owacyjnie.

cach odjętych Rosyi, a zamieszkanych przez ludność niegdyś unicką. Ludność ta wywędrowała do Rosyi wraz z cofającymi się wojskami, o ile z tradycjami katolickimi wzięła trwały rozbrat. Ci, którzy zostali, wracają do katolicyzmu nie tylko bez czyjegokolwiek nacisku, ale nawet przełamując trudności ze strony niektórych księży, lękających się powrotu rosyjan. Nie ulega żadnej wątpliwości, że zarówno Chełmszczyzna, jak Białoruś będą po wojnie posiadały zwartą ludność katolicką, a tym samym faktycznie lub przynajmniej potencjalnie polską.

W Rosyi prąd ku katolicyzmowi będzie zapewne dwojaki. Jeden będzie pociągał ku Rzymowi, jak pociągał dotąd jednostki i nieliczne środowiska z warstw wyższych, drugi zwróci się do mas ludowych.

Warstwy intelektualne, o ile są szczerze i nie krępowane oficjalnymi względami, odczuwają dla cerkwi państwowej wstręt i pogardę. Dlatego też i w katolicyzmie szukać będą nowych dla siebie form kultu. Przeciwnie, lud rosyjski przywiązany jest do imponujących ceremonii wschodniego rytuału, jakkolwiek lekceważy duchowieństwo, a wiary nie ma za normę moralności urabiającą życie. Inteligencja rosyjska przeto przejmować będzie raczej obrządek łaciński, lud — unię, oczywiście nie na zlatynizowaną modłę galicyjską, ale ściśle wzorując się na liturgii rosyjskiej. Przewidzieć naprzód można małe owoce pierwszego kierunku: kto wie natomiast, czy unia rosyjska nie potrafi zje-

dnać dla siebie bardzo znacznej ilości zwolenników. Mistycyzm religijny, właściwy duszy rosyjskiej, nie zawsze znajduje dla siebie podłoże w racjonalizmie sekt: katolicyzm, oparty o rodzime formy kultu, może stać się dla niej silną atrakcją.

Jakkolwiek jednak prąd konwersyjny w Rosyi się rozwinie, stwierdzić należy z całą stanowczością, że rozwinie się on poza obrębem polskiego wpływu. Owszem, przedstawia on dla polaków w Rosyi osiadłych zjawisko o tyle niebezpieczne, o ile z natury rzeczy musi być dla nich sympatycznym. Istotnie trzeba nie znać ani historii ani psychologii obu narodów, jeśli się operuje frazesami o ich braterstwie. Polakowi słabszemu i charakterem, i sytuacją polityczną, i materialnymi zasobami łatwiej jeszcze w to braterstwo uwierzyć. Rosyjanin, jeżeli widzi w polaku brata, to brata starszego, któremu przemocą wydarł pierworodztwo, mienie i cześć. Takie pokrewieństwo wywoływać może jedynie nienawiść, a żądza usprawiedliwienia własnej niecnoty zmusza do wyszukiwania słabych i złych stron w pokrzywdzonym dla uniewinnienia krzywdy. Przytem rosyjanin, nie mający historii, a przynajmniej nie mogący nią się chlubić, zazdrości polakowi promiennych kart jego przeszłości, okrywając zazdrość pogardą, a jako najbardziej zniwelowany z demokratów, czuje się podrażniony tem, co w ustroju społecznym nie tylko dawnej, ale i współczesnej Polski zdaje mu się arystokratycznym i wstecznym.

Jakże w tych warunkach myśleć o apostołstwie polaków w Rosyi? Mogą to czynić jednostki: ogół polskiego duchowieństwa ma przed sobą bliższe i pilniejsze zadania. Gdyby ich nie miał, interwencja jego nie byłaby niewątpliwie pożądaną i pozostałaby bezskuteczną.

Pamiętać przytem należy, że ksiądz polski w Rosyi ma już swoją parafię, złożoną przeważnie z polaków, i że wytworzenie się ośrodków katolickich wśród rosyjan oprze się zapewne przedewszystkiem o parafie te, stając się przez to źródłem nieuchronnych komplikacji i zatargów. Bieda polska wdowim groszem wzniosła kościoły, szkoły i filantropijne instytucje: naraz mogą przyjść ludzie nowi z żądaniem: — „Ustąpcie, przybysze! Puśćcie nas, miejscowych!”

Na tę ewentualność należy być zawczasu przygotowanym i zabezpieczyć się przeciw jej następstwom. Zwierzchność dycezyjalna będzie tu miała pole do okazania taktu i energii, a mężowie, stojący obecnie na jej czele, pozwalają z ufnością oczekiwać rozwiązania tych trudności. Ale i społeczeństwo polskie, wzięte w całości, a więc przedewszystkiem polskie państwo winno czuwać nad prawami i samym bytem odłamu polskiego, rozproszonego po szerokich przestrzeniach dawnego państwa carów, by jego stan posiadania w zakresie kościelnym nie został uszczuplony. Rzecz prosta, że nie może być mowy o odmowie posług duchownych katolikom rosyjskim w polskich kościołach: idzie jedynie o



Fot. A. Maśłowski.

Z. Rozwadowski. „Ułan na postoju“.

prawo własności i rządu się na własnym terenie i to musi przy naszych rodakach zostać. O ile nie potrafi tego zapewnić prawo i poczucie sprawiedliwości władz rosyjskich, o tyle interwenjować winien polski ogół. Wprawdzie państwo polskie w stosunku do Rosji będzie małe i słabe, ale i Rosja, rozsiedziona rewolucyjnymi ruchami i zróżnicowana politycznie, nie będzie mogła lekceważyć mniejszego sąsiada: W każdym razie państwo polskie będzie musiało spełnić narzucającą się mu powinność promieniowania na zewnątrz swych granic wytrwałym wpływem dla utrzymania w samowiedzy i prawach rodaków oddalonych od Ojczyzny.

W równym przynajmniej stopniu czuwanie nad polakami pozo-

stałymi pod obcym rządem przypadnie w udziale Kuryi rzymskiej. Polacy wprawdzie nie będą w możliwości rozwijać katolickiej propagandy wśród rosyjan, jak tego od nich oczekują pewne katolickie środowiska; pozostaną jednak w każdym razie większością katolickiej ludności w Rosji, przynajmniej ludności obrządku łacińskiego. W nowym ustroju państwowym uzyskają pełnię praw obywatelskich, a zapewne i wolność od ingerencji państwa w sprawy wewnętrzne i ich wspólnot cywilnych i kościelnych. Gdyby jednak większą ilość rosyjan poczęły przylączać się do katolickich gmin wyznaniowych, należałoby skorzystać z wolności porozumiewania się z Rzymem po wojnie dla pozyskania jego pomocy i zabezpie-

czenia autonomii życia kościelnego polaków. Dla przyszłości katolików rosyjskich będzie i korzystnym i wprost niezbędnym tworzenie odrębnych jednostek parafialnych, które w daleko wyższym stopniu od gmin narodowościowo-mieszanych potrafią odpowiedzieć potrzebom i przyzwyczajeniom swych uczestników.

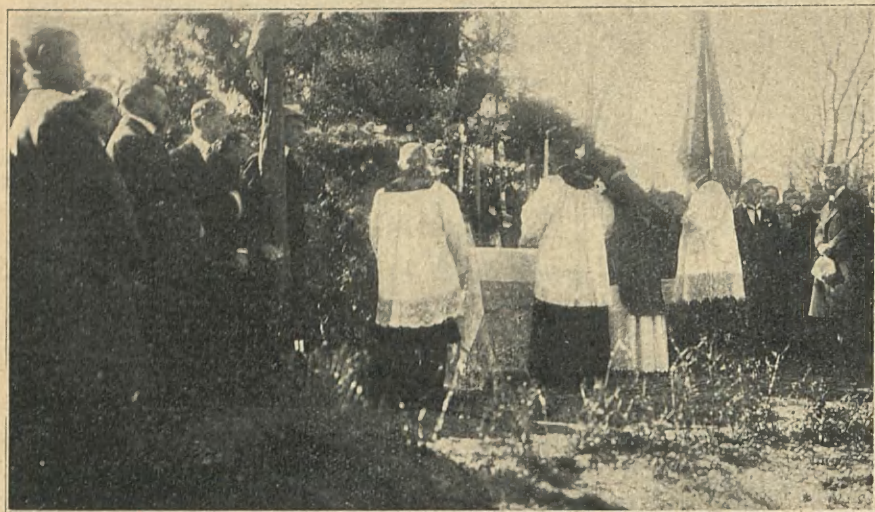
I oto jest pierwsze pole, na którym zapewne ujawni się wpływ Stolicy św. na nową Rosję. Trudniejsze zadanie przedstawia się dlań na polu ogólnych interesów państwowych, zwłaszcza na wypadek federalistycznego ustroju rosyjskiej republiki.

Ks. J. Gnatowski.

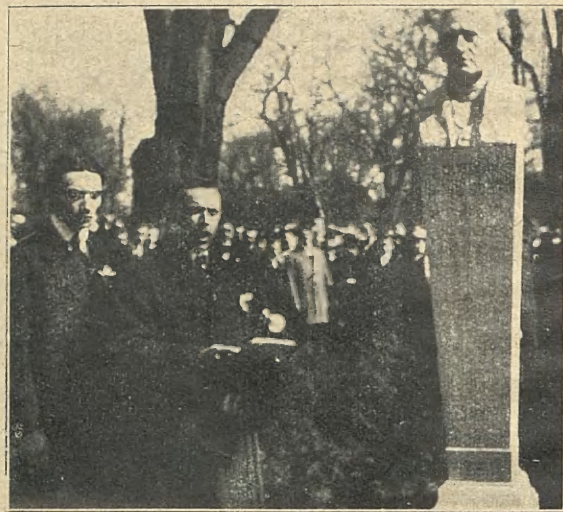


Obchód uroczystości 3 maja w Warszawie.

(Fot. Maryan Fuks).



Podczas odprawiania Mszy św. przez ks. Szlagowskiego w Ogrodzie Botanicznym. Od strony lewej stoją: nowomianowany komendant Legionów polskich pułkownik Zieliński, książę Lubomirski, prof. Kryński, rektor Brudziński. Przy sztandarze uniwersyteckim, chorąży student Lenartowicz. Po prawej stronie sztandar politechniki trzymają studenci: Oliński i Świda. Obok stoi rektor Patschke.



Przy odsłonięciu pomnika profesora Michała Szuberta przemawia dyrektor Ogrodu Botanicznego prof. Wojsicki.



Harcerz Stanisław Rudnicki odczytuje rozkaz dzienny od głównej komendy. W łóży obecni są: komendant Piłsudski, ks. Mauersberger, prof. Chmielewski i książę prezydent Zdzisław Lubomirski.



Podczas apelu. Nagrodzeni harcerze i harcerki przy sztandarze.



Dziesiąta drużyna żeńska im. Sułkowskiego z harcerkami nagrodzonymi złotymi medalami „za uratowanie życia”: Jadwigą Wolffówną, Maryą Latour i Jadwigą Olkowską na czele.



Piechota wojsk polskich na stokach cytadeli podczas nabożeństwa.



Tarcza Legionów, w którą wbijano gwoździe. Dochód przeznaczono, jako dar „Żołnierzowi polskiemu od Warszawy”.



Sztab oficerów Legionów Polskich na stokach cytadeli podczas nabożeństwa.



Panie przyjmują zapisy przed pomnikiem Mickiewicza od osób, które chcą wbić gwoździe jako dar „Żołnierzowi polskiemu — Warszawa”.



Kawaleria wojsk polskich na stokach cytadeli podczas uroczystości 3 maja.

Petersburg rządzony przez rewolucję.

Ręce do góry! Niech żyje lud!

Na rogach ulic petersburskich oryginalne posterunki: żołnierz z czerwoną przepaską na ramieniu i student. Uzbrojeni są w karabiny, pilnują porządku. Gdy demonstracja sunie ulicami, idą na czele od posterunku do posterunku, zatrzymując tramwaje, dorożki, a nawet niekiedy żądając zamknięcia sklepów. Właściciele magazynów chętnie stosują się do tych rozporządzeń. Lepiej przecież drzwi zamknąć, niż narazić się na komunistyczny podział bogactw, o którym teraz w Petersburgu nietylko teo-

ludzie — ale głośno nikt nie odważy się tego wyrzec. Cóż winien człowiek — zbrodnią był system! Ot co! — jak konkluduje minister Kierenski

Pierwsze dni rewolucji były w Petersburgu pełne polowań na dwugłowe orły. Zwalano je z gmachów rządowych, instytucji publicznych, sklepów dostawców dworu. Cyrkuły przytem były demolowane: w ogniu zemsty ludowej



Pierwsze dni rewolucji były w Petersburgu pełne polowań na dwugłowe orły. Zwalano je z gmachów rządowych, instytucji publicznych, sklepów dostawców dworu.



Zmienione role: teraz policyant idzie w kajdankach.

spłonęły tu orły wraz z portretami panującego domu Holdstein-Gottorpów.

Polowano też zawzięcie na policję. Nieporozumień wywiązała się cała masa. Wyszedł sobie zażywny kupiec Foma Fomicz w długich butach na ulicę i ciekawie a niedowierzająco zerka na wszystkie strony. Na Newskim zatrzymała go patrol. Wydał się podejrzanym. Padają słowa:

— Stój...

retycznie rozmyślają różni działacze socjalni.

Niema dnia, by jakaś grupa polityczna nie urządziła manifestacji. Powodów jest tysiące. Dziś za sojusz z Anglią — jutro przeciw tyranii angielskiej. Wczoraj czerwone sztandary kłoniły się przed sir Buchananiem, dziś podnoszą je do góry, wołając: Precz z wojną!...

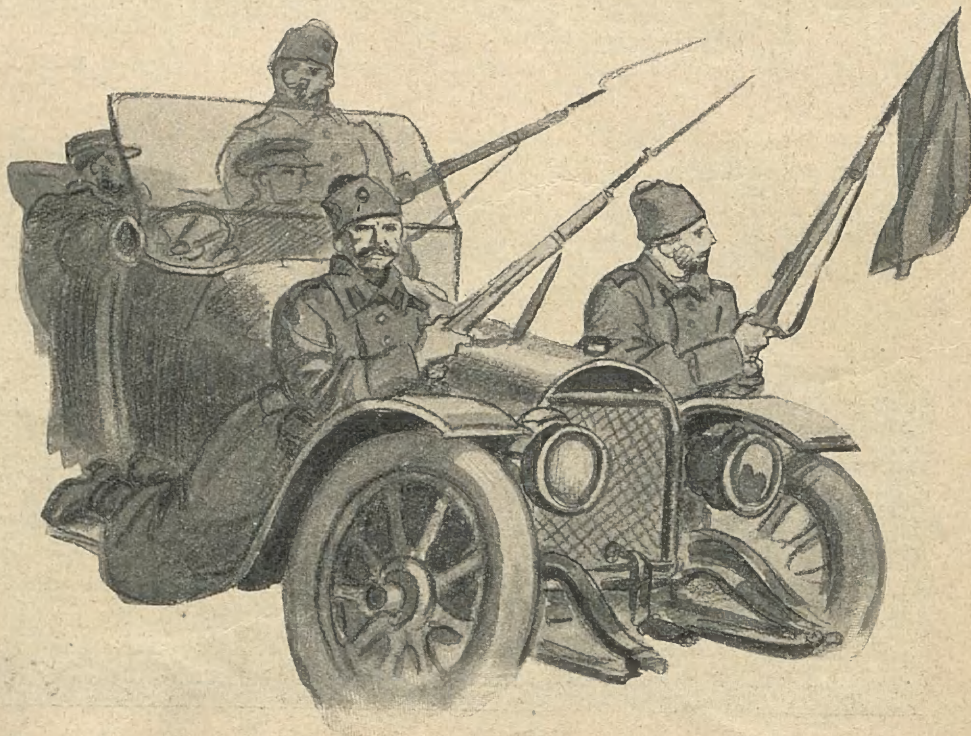
Posterunek milicji cierpliwie wszystkiego słucha. Jak wolność — to wolność.

Płoszy się tylko serce milicyi petersburskiej, gdy nadleci wiadomość: policya dawna poprzebierana za węgielkiem czyha na zrobienie napaści.

Wtedy doświadczony w boju żołnierz liniowy poucza studenta:

— Kładź się na flizach, włącz za samochód, zabezpiecz sobie flanki i strzelaj bez pardonu. Policya, wiadomo, swołocz.

Student nie oponuje. Czasem tylko jakiś niezwykle teoretyk „czelowiekolu-bja” w głębi duszy dopowie „i policya



— Kładź się na flizach, włącz za samochód, zabezpiecz sobie flanki i strzelaj bez pardonu. Policya, wiadomo, swołocz.

Foma Fomicz stanął. Zatrząsł się.
Żołnierz-obywatel głośno wypowia-
da uwagę:

— Zbladł, napewno policyjna skóra.
Student spokojnie komenderuje:
— Ręce do góry! Zrewidować!



Do rewizji żołnierz-obywatel chętnie się zabiera. Tradycja pozostała w krwi — choć zorze wolności zabłyśły nad Petersburgiem.

Do rewizji żołnierz-obywatel chętnie się zabiera. Tradycja pozostała w krwi — choć zorze wolności zabłyśły nad Petersburgiem.

Zestraszony kupiec zdobywa się na odwagę:

— Jakto, mnie rewidować? Mnie, uczciwego obywatela i kupca?!

— Ach, pan kupiec! Przepraszamy obywatela. Pan jest za wolnością?

— Juści, że za wolnością.

— Niech pan zawoła z nami: „Niech żyje lud rosyjski!”

— To mogę zawsze i wszędzie. I owszem.

Kupiec wraz z posterunkiem woła: „Niech żyje lud rosyjski!”

Pod sklepami ogonki tylko stoją w porządku. Czekają cierpliwie na chleb czy opał. Na krańcach miasta podemolowano sklepy spożywcze, porozgrabiano składy drzewa. W śródmieściu porządku pilnuje milicyja obywatelska.

Na słupach ogłoszeniowych zawiadomienia o wiecach. Wiecują tu od rana do późnej nocy. Organizują się żołnierze, oficerzy, służący, stróże i kucharki. Na wiecu kucharek uchwalono



Babka rewolucji rosyjskiej Breszko-Breszkowska, uwolniona z Syberii, którą owacyjnie przyjmowano w Petersburgu.



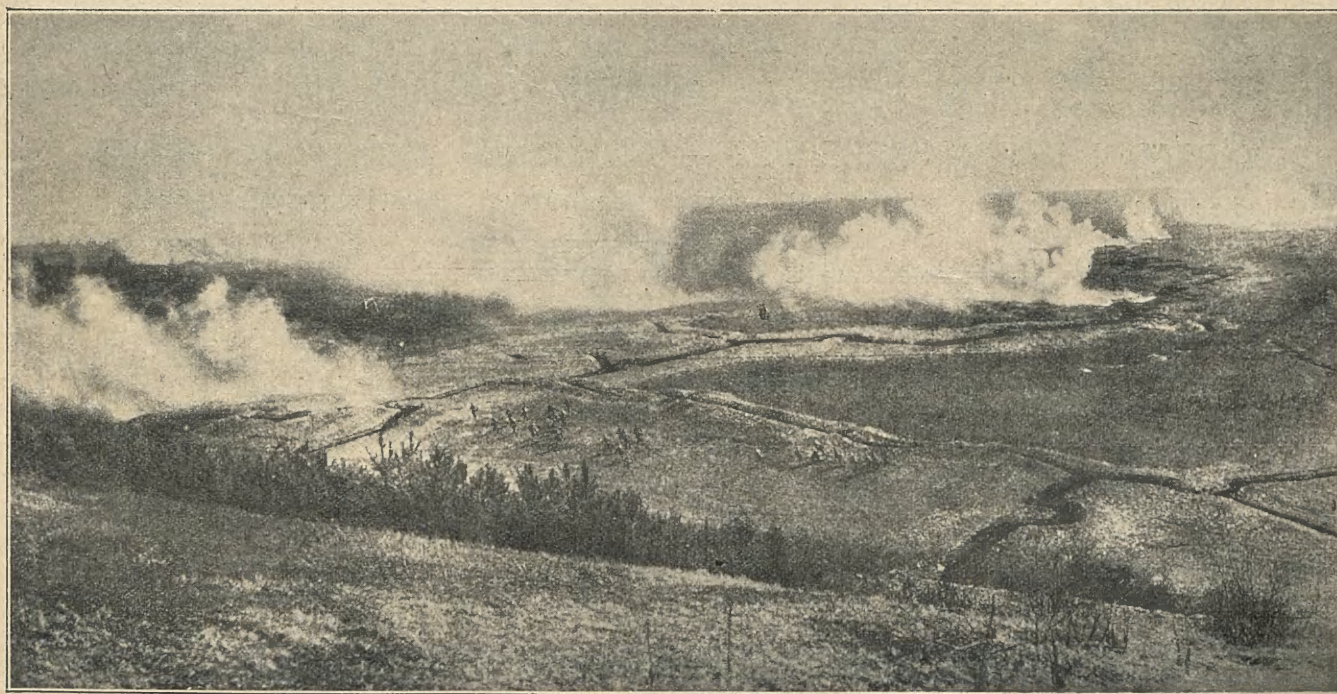
Na rogach ulic petersburskich oryginalne posterunki: żołnierz z czerwoną przepaską na ramieniu i student. Uzbrojeni są w karabiny, pilnują porządku.

rezolucję, domagającą się natychmiastowego zakończenia wojny i zupełnego równouprawnienia kobiet. Mogłyby też uchwalić konieczność natychmiastowego połączenia księżyca z Marsem. Teraz wszystko wolno. Idąc jednak po nadbrzeżnym bulwarze, przechodząc przez „Wasiljewski Ostrow” — należy uważać. Kula może się łatwo zabłąkać. Trzeba przytem słuchać komendy milicyjnej; bo nie żartuje wola ludu:

— Ręce do góry!

J. W.

Na froncie zachodnim.



Atak w Szampanii.

Teatry warszawskie.

TEATR LETNI „Edukacja Fipcia”, farsa w 3 aktach Piotra Wolffa.

Chyba tylko dla pokazania, jak nie należy pisać fars, wznowiono w Teatrze Letnim dawno graną groteskę „Ach! ten Leon” pod tytułem „Edukacja Fipcia”. Nie był wcale komiczny p. Fipcio, zartawdzały w cnocie poeta, młodzieniec pełen idealizmu i marzeń. Nie jest też prawdopodobne nawet w farsie, by nie oddano mu ręki młodego podlotka tylko z tej racji i dzięki czemu musi odbyć edukację u kokoty, co już najdziwniejsze, że edukacją tą zajmuje się sam przyszyły teść. Nie jest to wcale zabawne i zupełnie nie pobudza do śmiechu tymbardziej, że artyści dość wyraźnie szkicowali i przejawiali i tak już nieprzyzwoicie jaskrawą historyjkę. Fipcia w karykaturze pokazał p. Grabowski. Uświadamiającą istotę cokolwiek wulgarną grała p. Renard. Zabawną służącą była p. Micińska. Reszta ról była grana z farsowem zacięciem. Wystawa staranna.

TEATR NOWOCZESNY. „David Copperfield”, sztuka w 5 aktach Karola Dickensa.

Artyści Teatru Polskiego na sezon letni objęli też gmach Teatru Nowoczesnego w swoje posiadanie. Na otwarcie wybrali pięcioaktową przeróbkę z powieści Karola Dickensa p. t. „David Copperfield”. Jest to smutna opowieść o żalosnej niedoli małego Dawidka — sieroty, którego obumarł ojciec, a wkrótce też umrze mu matka. Ojczym wychowanie jego odda pod kierownictwo opryszków i lotrów. Z wątpliwej wartości zakładu pedagogicznego mały Dawidek dostanie się do złodziejskiej szulerni. Wszystko skończy się jednak dosyć pomyślnie. Sztuka pozbawiona jest zupełnie akcyi. Naiwność faktury nuży. Artyści w miarę sił inteligentną grą urozmaicili widowisko. Tytułową rolę zagrał mały Tadzio Zyglar. Jego nieszcześliwą matkę z wdziękiem i słodyczą zagrała p. Bachner. Dobrym profesorem był p. Sosnowski. Wystawa i reżyseria staranna.

E. C.

Wanda Landowska na koncercie benefisowem Filharmonii.

Znakomita klawicynistka, Wanda Landowska, występiła swym na koncercie benefisowem Zdzisława Birnbaum a d. 7 b. m. czarowała słuchaczy stylem odtworzenia dzieł klasycznych. Aksamit jej uderzenia wywoływał zachwyt krytyki i publiczności. Sezon zimowy zakończyła orkiestra Filharmonii pełnym sukcesem artystycznym, pomimo ciężkich warunków materialnych.



Wanda Landowska.

KAZIMIERZ TETMAJER Notatki literackie

Cena Mk. 3.—. 15040

Nakład Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.

dla KASZLĄCYCH
EKSTRAKT I KARMELKI
LELIWA
POLECANY JAKO JEDYNY KRAJOWY
ŚRODEK EGZYSTUJĄCY
OD 1884 R.
SPRZEDAŻ W APTEKACH
SKŁADACH APTECZNYCH

10235

L. WRÓBEL

wł. P. FLORCZYK

Krak.-Przedmieście № 25

poleca

WINA, HERBATĘ WŁASNEGO IMPORTU, KAWĘ, DELIKATESY i t. p.

CENY NIZKIE.

10273

SKŁAD
APARATÓW FOTOGRAFICZNYCH
J. W. KASPRZYCKI
WARSZAWA NOWY ŚWIAT 45.

10279

Wilno 1909 medal złoty

Lublin 1908
med. srebrny

Akc. Tow. Fabryki dachówek „MIŁOSNA”

Częstochowa 1909
wielki med. sr.

ZARZĄD I BIURO SPRZEDAŻY — **Warszawa, Nowosenałowska 8.**

poleca: dachówki z gliny szlamowanej, wysoko palone różnych typów dla wszystkich budowli.

10284

OD BÓLU GŁOWY

Nerwonigren
„Motor”

10200

W OPLATKACH.

Dozwolony przez Radę Medyczną. Dla odróżnienia od wielu leków o zbliżonej nazwie, zwracamy uwagę, że nasz środek leczniczy z najduje się w sprzedaży tylko w opłatkach opatrzonych naszą firmą.

Warsz. Tow. Akc. „MOTOR” Marszałkowska 23.

Znakomity środek odżywczy w wyczerpaniu fizycznym i umysłowym

„ROBOROL”

Cena flakonu Mk. 4.50.

poleca Apteka Tow. Akc. „Fr. Karpiński”
ul. Mazowiecka № 10.

10238

L. H. BAUER

Fabryka złota, srebra i dwójnika
w liściach. DANIŁOWICZOWSKA № 4.

Egzystuje od 1808 r.

10274

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 12 maja 1917 roku

Nr 19.

Julian Ochorowicz.

Kartka z dziejów kultury polskiej.

Kiedy społeczeństwo polskie obudziło się do życia, z ciężkiej powstaniowej anemii, pod gromami represyi, ujrzało ono, w centrze swych myśli i uczuć, nową wolę, pełną jedności i świeżości, reprezentowaną, jak zwykle w takich historycznych momentach, przez garść „młodych”. Śród nich Ochorowicz prędko się wysunął naprzód. Był, jak inni z obozu, śmiały aż do zuchwalstwa, zawzięty do uporu; postęp adorował, przesądami gardził, na „starych” z góry patrzył. Ale więcej od innych, zdawało się, otrzymał od natury darów, i bardziej ruchliwszą, lotniejszą, żwawszą myśl. Nauce się poświęcił — i wiersze pisał; „badał duszę” i rymy składał; był w nim zarazem temperament nowatora i bojowca, i ten do końca życia się nie wyczerpał: Ochorowicz ciągle coś nowego miał światu do powiedzenia i z kołami, mniej lub więcej uznanymi, stał bez przerwy w opozycji.

I pod tym względem był on może najbardziej typowym przedstawicielem swego pokolenia, najdłużej, najwytrwalej „młodym z 1870 r.”

Nikogo też może tak znamienne nie przekroczyło życie, jak Ochorowicza, wciśnięto zbyt mocno w tę kulturalną i naukową zaściankowość warszawską, jaka charakteryzowała tak zwany postęp popowstaniowy.

W owym czasie Ochorowicz obiecuywał wiele.

Niedawno pewien poeta z owego obozu mówił mi o nim:

— W naszym kółku najwięcej na niego liczono. Spodziewaliśmy

się, że on najdalej z nas wszystkich zajdzie.

Został on przekroczony przez innych, przez Asnyka, Sienkiewicza, Chmielowskiego, Świętochowskiego. Ani dzieł po sobie nie zostawia większych, ani wpływu większego nie wywarł. Ale byłoby wielce niesprawiedliwem widzieć w nim rodzaj prymusa, który kończy szkołę ze złotym medalem i niknie następnie w życiu. Ochorowicz istotnie swe uniwersyteckie studia uwieńczył złotym medalem (za rozprawę: „Jak należy badać duszę”), ale nie znikł bynajmniej z oczu, zachował bowiem stale, i aż do końca, zdolność drażnienia innych.

Była to, w każdym razie, indywidualność.

*

Dla literatury był on Julianem Mohörtem. I niektóre jego prace liczą się w biednej ideologii i ubogiej literaturze epoki. Jego „Listy do przyszłej narzeczonej” dorzucają dość ciekawą stosunkowo kartkę do prądów emancypacyjnych swojego czasu. Wiele wtedy mówiono i pisało o tem, jaką ma być kobieta w ogóle, a kobieta polska w szczególności, a to, co Ochorowicz o tem napisał, jest mniej od innych rzeczy doktrynerskie, a w każdym razie ma pewien wdzięk literacki, którego brak zupełnie głównemu i głośnemu bojownikowi epoki o równe prawa kobiece, Edwardowi Prądzyńskiemu.

Edward Prądzyński?! Kto wie coś dziś o nim.

Ochorowicz pisał i wiersze. Jakby na złość naczelnemu ideologowi warszawskiego pozytywizmu, Piotrowi Chmielowskiemu, który zapewniał ludzi, że na przyszłość świat będzie mówił tylko prozą. Jeden z wierszy Ochorowicza stał się nawet popularnym. P. Demby pomieścił go w swych wypisach „Łany ojczyste”, świeżo wydanych. Tytuł tego wiersza „Naprzód!” Porusza on strunę, na której Mickiewicz już wygrał nieśmiertelny hymn do młodości. Ale są tematy, które każde pokolenie żywotne musi po swojemu przeharmonizować. Dla naszego pokolenia uczynili to i Asnyk, i Konopnicka, i Ochorowicz. Asnyk jednak w swym wierszu: „Daremnne żale, próżny trud — bezsilne złorzeczenia” dał tylko piękny fragment poetyckiej polemiki. Ochorowicz dał niemal że cały program. Nie będziecie żądali poezyi, wszak prawda, od „programu pracy organicznej” wyrażonego wierszami. Ale jest w tem i siła, i zręczność. Bądź co bądź, jest to literatura. Autor daje tu nową interpretację „burzy” i „walki”.

„My chcemy walki, co kraj oświeci
Od piwnic aż do poddaszy!

Walki, w której „zimna rozwaga jest nadzieją”, w której „wodzem jest stałość”, w której „praca jest bronią”.

„O, bo pieśń nasza, to nie ta łzawa,
Śładka melodia niebieskich ptaszyn,
O, bo pieśń nasza, to ludów wrzawa,
Huk młotów i turkot maszyn.

I pisarz radzi spieszyć, „zagnani wiedzą” tam, gdzie

Na wielkim drzewcu z wszechwiedzy
drzewa
Okryty chwałą, z tajemnym szumem
Sztandar postępu powiewa.

Albowiem to stamtąd tylko „miliony nam pomoc przyślą”.

Wiersz ten niewątpliwie zasługuje na pamięć i lepiej on, aniżeli jakikolwiek utwór epoki, charakteryzuje krótkimi słowami ideały polskie swojego czasu. Był popularnym. Każdy młodzian zakochany deklamował go swej donnie. I niejeden z nich czuł, że na drodze do owego sztańdaru postępu „chwałę siłą zdobędzie“.

W latach późniejszych Ochorowicz nie raz jeden przypominał sobie, że drzemie w nim pierwszorzędnny talent pisarski. Ale budził go z drzemki prawie wyłącznie na użytek polemiczny, aby razić licznych swych przeciwników, których zawsze roje wylęgała, każda jego nowa teoria naukowa. Ciał wtedy i umiejętnym sztychem i na odlew. Zawsze w obronie swego gorącego przekonania, w które wkładał myśl, pracę i temperament. Był, jak już podkreśliliśmy, indywidualnością.

*

Jako uczony był Ochorowicz przede wszystkim psychologiem. Zaglądał wprawdzie myślą badawczą, a nawet i twórczą w inne dziedziny, już to dalsze nauce o duszy, jak fizyka, już to bliższe i stanowiące zapewne pogranicze sił psychicznych z biologicznymi, jak medyumizm, któremu tak wiele energii poświęcił. Ale z zawodu był psychologiem. Jego pierwsza, uwieńczona nagrodą praca nosiła tytuł: „Jak należy badać duszę?“. Uniwersytet lipski udzielił mu stopnia doktorskiego za psychologiczną rozprawę. Najtrwalszy jego tytuł do pamięci świata naukowego, prace o sugestii, również do dziedziny psychologii należy. Ku końcowi życia wydał podręcznik psychologii elementarnej, — zdaje się, że jedyny oryginalny, jaki posiadamy. Wreszcie, przy Towarzystwie Miłośników Przyrody założył sekcję psychologiczną, którą miał otworzyć jego odczyt o ideach opętanych; już zebrał się członkowie na tę inaugurację, gdy zamiast słów prelegenta doszły ich słowa żałobnej wieści.

Śmierć ta przerwała duży traktat o psychologii, nad którym Ochorowicz pracował.

Jego dzieło nie zostało jeszcze u nas ocenione.

Ochorowicz miał wielu u nas przeciwników. Nawet nieprzyjaciół. Lekarze nasi nie mogli mu wybaczyć, że leczył chorych własnymi metodami, nie mając policyjnego na to pozwolenia. Boć wiedzy mu nie

zbywało. Ale lekarze nie byli jeszcze najzaciętszymi z jego wrogów. Psychologowie nasi wprost nie uznawali w nim uczonego.

Przykrości na tem polu spotkało go wiele. Ten najstarszy, a może i, obok Abramowskiego, najoryginalniejszy z polskich psychologów, nie mógł się doczekać do końca życia katedry na żadnym z uniwersytetów polskich.

A raz nawet, na warszawskim zjeździe psychologów, spotkała go krwawa obelga: po jego referacie wstał pewien młody profesor i zaproponował zjazdowi, aby nie odbywano dyskusji naukowej nad tą pracą.

Co Ochorowiczowi zarzucano?

Jego metody polemiczne przedewszystkiem. Ochorowicz wojował z przeciwnikami swymi naukowymi — jak dziennikarz: w „kuryerku“, na arenie zbyt poziomej i sposobami zanadto popularnymi. W jego intencji była to jedna z metod popularyzacji nauki. Ale tego złudzenia nikt bodaj z nim nie podzielał.

Inną przyczyną jego niepopularności były studia medyumiczne. I te

prowadzone były (przez pośrednictwo słynnej Eusapii Paladino) nie w laboratorium, w ścisłym kole zawodowych uczonych, ale w salonie towarzyskim, w gronie amatorów wróżen głównie. Rezultaty przytem miały jedną fatalną wadę w oczach męża surowej nauki: nie dawały się dowolnie sprawdzić.

Wreszcie i w oczach filozofów Ochorowicz nie miał żadnego uroku. Nie ruszył się on z wąskiego, pozytywistycznego stanowiska, jakie zajął w młodości, kiedy modą było negowanie wszelkiej filozofii. Ztąd rozbrat z młodymi naszymi myślicielami coraz to większy, w miarę jak ci na metodach filozoficznych gięli i ostrzyli swą myśl rozpoznawczą. Myślenie wynalazcy „promieni sztywnych“ wydawało się naszym filozofom — zbyt sztywnem.

Jednak ku końcowi życia Ochorowicza opatrzone się, że niesprawiedliwość go spotyka po nad miarę. Wybrano więc go na wiceprezesa Towarzystwa Psychologicznego, a Kasa Mianowskiego udzieliła mu zasiłku na wydawanie prac.

Dr. Voks.

JULIA DICKSTERNÓWNA.



*Kocham twe włosy zwichrzone i czarne,
zwiśle u skroni, by skrzydło sokoła,
kiedy pieściwą dłonią po nich garne,
i kocham dziwną czystość twego czoła,
dziecięca czystość...*

*W twoich zrenicach tonę, gdzie się mroczy
w jeziornej głębi niema pieśń kochania,
skąd myśli skrzydłne w pola światów bieżą,
i pytam, czemu smutek mgły przegania
przez twe zielone oczy?...*

*W twojej się duszy płomień patrzę tkliwą,
w młodzieńczych uczuć toń źródłanie świeża,
i w ciepłe tętno twej proroczej wiary,
że kiedyś w szczęściu ziemską stanie niwa.
Za myśl, co dała chłopięcej twej twarzy
i młodym latom powagi spowicie,
za lot twój, który wierchami się waży,
nad ziemskie blaski wzniesion i opary,
za twe samotne, ciche, twórcze życie
ja pokochałam ciebie....*

KARYERY.

27

Romek nie prowadził nigdy dłuższej rozmowy ze sztaruszką. Jenó w rzucanych sobie solidarnych uśmiechach i spojrzeniach — czuł wzajemną niemą nić sympatii. Romkowi imponowała duchowa czystość starca, który najwidoczniej przeszedł przez życie bez jednej plamy. Ksiądz Zalewski zaś lubił wogóle młodość, której sam nigdy nie zaznał.

I Romek czuje, iż starzec wie o wszystkim. Bez zastanowienia wskoczył do niego z bryczki. Miał to być ostatni już akord symfonii Jędrzejewic. I niemy z bólu — rzucił się w otwarte ramiona księdza. W uścisku tym drgała dziecięca skarga:

— Odebrali mi ją. Odebrali! Wszystko dla mnie stracone.

— Życie — to sztuka ukrywania cierpienia — uczył go starzec.

Po długiej sekundzie. Romek wyrwał się z jego objęć, skoczył do bryczki. Konie skrzyły w bok. Dach pałacu zniknął już za drzewami. Romek rzucił jeszcze jedno spojrzenie w stronę księdza Zalewskiego i Jędrzejewic. Oczy zaszyły mu łzami. Wszystko się skończyło.

Miał uczucie, iż znajduje się na własnym pogrzebie.

XI.

W trakcie tym Horski rozmyślał, czy nie zapędził się zanadto? Czy nie zdecydował się na krok tak ważny zbyt nieogłędnie, zbyt po młodościemu, prawie bez zastanowienia?

— Czy przypadkiem nie zagłowałem się? Przecież tu chodzi o całe życie — zaczął badać trzeźwo sytuację.

Prawda. Działal pod wpływem afektu wspomnień. Tu nie chodziło o sztafaj, o szczególnych aktorów, lecz o tę samą scenę, z dawnym tym samym scenariuszem, a głównie o pejzaz jędrzejewicki.

Za kulisami teatrów nazywa się to: „wolną okolicą“. Tak. To ona na niego działała: To cudne ugrupowanie starodrzewia, gdzie wśród srebrnych o zachodzie słońca brzoź i szeregów różowo-złotych kolumnosen — młoda para szepce anormalnym głosem o rzeczach wiecznie pięknych: o szczęściu, o nadziejach i pragnieniach, o wyższych ideałach życia.

Dokoła cisza. Lekki wietrzyk lubieżnie łechce po szyi i po skroniach. Z po za drzew — wychyla swoją łysą głowę z pobłażliwym uśmiechem księżyc... Kwiaty wysilają się na jakiś tripple extract. W krzakach robaczki świętojańskie błyszczą jakimś dyabło-jubilerskim błyskiem rozrzuconych po królewsku butonów brylantowych.

Wszystkie zapatrywania i myśli wskutek figlów jakichś niewidzialnych, potężnie silnych chochlików odpowiadają naraz naszym własnym.

I tak bajecznie solidaryzujemy z tą drugą istotą, która nam naraz staje się tak bliską, jak nikt na świecie. Bo i myśli mamy wspólne i sposób odczuwania, który ona jedynie jest w stanie zrozumieć!

I naraz ogarnia nas pragnienie, aby z wdzięczności za jej dobroć — poświęcić jej życie i otoczyć ją opieką, bronić od krzywdy ludzkiej i spędzić z nią razem dni aż do grobu. Bo jedynie w jej szczęściu leży nasze własne szczęście.

— Właził na gruszkę, rwał piestruszkę! — pękają ze śmiechu chochliki nocne.

Lecz zakochani ich nie widzą; są bardzo poważni i bardzo uroczyści — przekonani, że traktują rzecz zupełnie seryo, a nawet trzeźwo.

Lecz Horski nie jest młodzikiem. I teraz — zupełnie otrzeźwiony — nie chce stać się ofiarą figlów Amora. Jako lekarz, pojmując doskonale, z jakim zdradzieckim sprytem działa natura, nie interesująca się niczym innym, jak tem, aby świat nie wyginał:

Ta stara egoistka! Pojęła doskonale, że w kwestjach rozmnażania się ludzi — należy wysilać się przy stręczycielstwie na szaty sztuczniejsze i motywy subtelniejsze, niż dla płaćwa i motyli.

— Tak, tak — szeptał Horski. — To figiel Jędrzejewic. Zdawało mi się, że jestem tym samym studentem, co dawniej, a ona... tamtą, jedyną. Le grand amour! — zakrył sobie twarz rękami.

Lecz wnet roześmiał się gorzko; obliczył, że od tamtych czasów — dzieli go blisko ćwierć wieku; i że ta boska, z mgieł i obłoków polska dziewczeczka, z której alabastrowych palców spadały perły na ubrylantowane w wodzie białe lilie i nenufary — mu-

si być albo siwą staruszką, albo gorzej: kosmopolitycznym wymalowanym starem pudłem!

I zaczął kombinować zupełnie na trzeźwo:

— Tak, tak. A jednak starokawalerstwo zaczyna być ciężkiem, nie do zniesienia; a samotność zaczyna aż przerażać. Nie mam ani artretyzmów, ani początków sklerozy. Kobiety uważają jeszcze, że jestem przystojny. Mam byt jaknajlepiej zabezpieczony; na zmniejszenie praktyki lekarskiej jeszcze nie zanoszą się. A życie moje obecne jest poprostu ohydą — wstrząsnął się.

— Wiecznie sam, jak kolek! A panna jest przystojna, z najlepszego towarzystwa, jaknajlepiej ułożona!

Przypomniawszy sobie Felkę z jej wiecznym i jedynym leitmotiwem opowiadań o karyerach, jakie porobiły jej koleżanki, choć są źle zbudowane, bez temperamentu i starsze od niej!

Wtajemniczała go, ile każda z jej koleżanek płaci za mieszkanie, jakie posiada kolczyki brylantowe, ile daje łapówki za rolę i ile płaci za całodzienny wynajem samochodu. Wiedziała o wszystkich kandydatkach na przyjaciół i o ich funduszach, jakie mogą przeznaczyć na kobiety. Traktowała na seryo wszystkich chłystków i interesowała się jedynie utracyszami, smarkaczami i lampartami minorum gentium.

Działała mu wprost na nerwy; dla nikogo nie był tak niemiłym, jak dla niej. O! Miał już jej po szyję! Nudziła go już tak, że wołał stokroć bardziej rozmawiać ze swoim służącym, niż z nią. Jeżeli z nią nie zrywał ostatecznie — to jedynie z przeświadczenia, że każda z jej koleżanek, jako ewentualna następczyni — nieczem nie będzie różniła się od niej; a kobieta z towarzystwa będzie jeszcze stokroć gorsza.

A po za nią — wiało dokoła niego najkompletniejszą pustką: Bo ostatecznie ci wszyscy jego quasi-przyjaciele, hrabiowie i książęta z żonami i rodzinami — to właściwie — jedynie jego wdzięczni pacjenci. Prawda! Po za hojnymi honoraryami i złotem papierosnicami na imięninę, a po powrocie ze zdrojowiska po za nieustannymi szklannymi wazonami Galleta i Dauma i paterami z Kopenhagi — obdarzając go nadto nadsyłając zwierzyną z polowań na święta, lub haftowanymi robótkami na imięninę!

Zapraszano go dawniej i na śniadania i na bridża (choć w karty nie grał), i podkreślano względem niego grzeczność aż do przesady; razila go ona tak, aż zaprzestał bywać w wielkim świecie, pomimo swego snobi-

zmu i upodobań w formach estetycznych high-life'u.

Czuł, że nie jest z ich świata i że od trzydziestu lat sytuacja jego zmieniała się tylko o tyle, że nie jest już ich korepetytorem, lecz ich lekarzem; a gościem z ich towarzystwa nie będzie nigdy. Gdyby zgodził się nawet zostać kochankiem ich żon, lub córek — będzie zawsze jedynie wybawcą ich spleenu, tak jak był dotąd lekarzem ich chorób; lecz niczem więcej. Dostałby za to może na gwiazdkę jeszcze piękniejszą złotą papierośnicę i jeszcze większą paterę z Kopenhagi.

I zachciało mu się nareszcie być u siebie, mieć raz ten uśmiech, jaki ma się jedynie na własnych śmieciach, we własnym domu; i móż klepać po ramieniu korepetytora, młodego lekarza, i móż mówić protekcyjonalnie swoim domowym i najbliższym gościom:

— No! bawcie się tutaj spokojnie, moi drodzy; a ja pójdę prześpać się trochę w moim gabinecie.

I przypomniał sobie Zosię: Nie była tak dobrze zbudowana, jak Felka; lecz pozatem nadawała się, jak nikt, do robienia honorów młodej pani domu.

Przedewszystkiem — rzecz dla niego najważniejsza — miała rasę; pochodziła z domu prawie arystokratycznego i była ułożoną tak dobrze, że nie sprawiała by mu wstydu nawet na dworze księżącym „kochanej Eustachowej“.

Imponowało mu, że mówiła po francusku, jak rodowita pałyżanka (Horski — niestety — bardzo słabo władał francuszczyzną). Miała przytem spokój, linię, takt i układ „panny z pierwszego domu“.

Nie miała wprawdzie posagu; lecz to ułatwiała konkury i zapewniało, że nie dostanie kosza.

Jakoż wszystko faktycznie poszło mu w tym względzie, jak z płatka. I po złożeniu pierwszej wizyty w Warszawie, a następnie po kilku proszonych obiadach i kilku asystach w operowej łoży, ośmielony zachętami, jako zdecydowany już konkurent, mógł, nie zwlekając, zdeklarować swoje zamiary rodzicom. I z zapewnieniem, że nie przeciwko niemu nie mają — oświadczył się pannie. Teraz już najformalniej został przyjętym.

Zosia wmawiała sobie, że jest zadowolona. Dziwiła się tylko, czemu po nocach źle sypia, czemu apetyt straciła, czemu mimowolij wzdycha ustawicznie i czemu — jak wszyscy twierdzili — tak źle wygląda?

Objaśniano ją, że taka przejściowa epoka wszystkim wogóle narze-

czonym nie służy. Po za tem było jej dobrze: Te ciągle powinszowania ze wszystkich stron (niektóre bardzo nieszczerze, że źle maskowaną zawiścią z powodu kariery, jaką ją spotkała), to rozjaśnione stale oblicze matki, tryumfująca atmosfera całego domu, w którym ona — jako pierwsza bohaterka — królowała — to wszystko było tak oczadzające, tak miłe, że było prawie do szczęścia podobnem.

A przytem zabawy, wizyty i ciągle teatry, których dawniej dostawała, jak na lekarstwo. I te całe pudła cukrów. No i kwiaty! Kwiaty bez końca! Aż ją to wzruszało...

— Nie jestem warta uczuć tak poważnego człowieka. Być tak kochaną, za co?

Usiłowała przez wdzięczność być jak najweselszą, jak najmilszą. I, przypomniawszy sobie, jakie powodzenie ongi odniosło i jakie szczęście roztoczyło jej wyrażenie „bachory“ — rzuciła znowuż ten epitet z dawną minką, strofując harcującą po pokojach zbyt głośno dzieciarnię.

— Bachory? — zgromił ją Horski z dystygowanym marsem, bardzo żdziwiony. — Nie będę pani nigdy puszczał do kuchni, aby pani nie zapożyzczała gwary od służby.

— Klapa! — uczyła się zawstydzona po żakowsku panna Zosia. — Ha! Widocznie nie na wszystkich scenach i nie u każdej publiczności ma się jednakowe powodzenie!

Odtąd hazardowała się już mniej śmiało ze swoim repertuarem, który taki zachwyt wzbudzał w „innem“ audytoryum.

Poznała się na guście nowej publiczności w osobie narzeczonego, któremu najwięcej podobała się jej bierność i apatya. Rola dla niej bardzo wygodna, ponieważ nie była grana, lecz panoszyła się w niej, jako najszczęśliwszy stan jej duszy. Horski z bardzo mylną dyagnozą uważał całą jej „genre“ za szczyt dystynkeji i arystokratycznego ułożenia.

— Ha! Tem lepiej, że mu się to podoba! Uracze go tem do syta — pocieszała się Zosia, przekonana, że to ani dystynkeja, ani przejściowa epoka narzeczeństwa odbiera jej sen, humor i apetyt...

Poprzysięgła też sobie, że uczyni wszystko, aby zapewnić szczęście swemu narzeczonemu a przyszłemu mężowi. Zasłużył to sobie, choćby za te wszystkie kwiaty, składane u jej stóp, za tę promienną atmosferę całego domu, która ją otacza.

I nie chce, aby on cierpiał. Sama wie — niestety — aż nadto dobrze, co znaczą duszone łzy, gorzkie wspomnienia i trucizna, panosząca

się despotycznie w całym organizmie. Poznała dobrze, co znaczy zawód miłosny! Z powodu licznych zawodowych zajęć narzeczonego ułatwiono mu jeszcze konkury o tyle, że zwolniono go z wielu uciążliwych dalszych rodzinnych wizyt, zadawalając się rzucaniami przez służącego biletami. A że mieszkanie miał oddawna zupełnie urządzone, ślub mógł w bardzo nieodległej przyszłości być już oznaczonym. Lecz, niestety, pozostawała jeszcze kwestya wyprawy, ciągnąca się bez końca.

Oboje pragnęli, aby czas ten nadszedł już jaknajprędzej; bo czasy narzeczeństwa okazały się jeszcze uciążliwsiemi, niż konkury; a najcięższemi do przebycia stawały się wieczorne odwiedziny narzeczonego, ciążące nad wyraz nietylko całemu domowi, lecz i im samym. Aż szczęki od ziewania bolały, i jak z kamienia ciągnęła się rozmowa — tak już wszystkie tematy były wyczerpane.

Wiedzieli doskonale, że nie może być mowy o tem, aby małżeństwo ich było zerwane; i z dvojga złego woleli ostatecznie, aby ślub raz już się odbył.

XII.

Ciotka Benisia już od kilku dni rozkoszowała się Wenecją. Podróż, niezbyt egzotyczne, bo dla tych czuła się już zbyt starą i zmęczoną — lecz po środkowej Europie — były rekreacyami jej życia, a raczej jedynym; oazami.

Gospodarstwo jędrzejewickie, niezgorzej prosperujące, sprawy majątkowe, interesowanie się rodziną i współdziałanie w ochronkach ludowych, w szkołach wiejskiego przemysłu — to wszystko uważała ciotka Benisia za ciężar życia, bez którego chodzić po świecie jest nieprzyzwoicie. I motyle nietylko fruwają; a i kwiaty nietylko wonieją; lecz mają cały skomplikowany tryb swego istnienia, od którego nie wolno paszytniczo się uchylać.

Lecz podróż — to były wety jej życia. Przejeżdżając po całorocznych mozołach granicę, oddychała za każdym razem szeroką pierśią. I racząc swoje płuca należnym im balsamem, wykrzykiwała z radością małego dziecka:

— Nareszcie!

Dalszy ciąg nastąpi.



Malczewski.

(Fragment z poematu dramatycznego).

Rzecz w Wenecyi. Rok 1819, karnawał.

2

ESTERHAZY.

Żeś jest polak, żeś szlachcic, żeś mi polecony
Przez mą krewną — zostaniesz tu wtajemniczony
Przezemnie w jedną sprawę, którą te maskary
Ukrywają — pod larwą igrzysk karnawału.
Nie wszystko tu jest rzeczą tańca albo szatu —
Wiesz, że wolność wywalczyć sobie chcą narody,
Ty wiesz, bo i któż bardziej nie kocha swobody —
Niż polak... Lecz ta sama plynie fala ducha
Przez Włochy, Grecyę, Węgry... A kto jeno słucha
Tętna czasu — ten widzi, jak ta fala wzbiera.
Świat, to wulkan. Dziś mamy wieszczą-bohatera,
Co przebudził narody... Uważ — te maskary —
Te i te — to są Klefity albo Karbonary —
I mówią tajemniczym językiem symbolów,
Pojętym dla węglarzy albo armatolów.
A teraz, bacz — witają go kanconą śpiewną.

(Muzyka).

Gondola nadjeżdża — Byron wychodzi na brzeg z hrabiną
Guiccioli.

SCENA V.

BYRON (do zamaskowanych).

Witajcie, mili bracia. Pozwól mi królowno,
Że rękę podam tobie. Zachodzące słońce
Purpurowe swe ognie — jak łuną — żarzące
Rzuca w okna pałaców nad wodnym obszarem,
Że wydają się jednym objętym pożarem.
A ten pożar — to obraz nowej jutrzni świata —
To duch, co wszystkie ludy jednym ogniem brata.

ZAMASKOWANI.

Witajcie nam, milordzie.

BYRON.

Hej, zamaskowani,

Mówcie mi, co tam słychać w podziemnej otchłani?
Jak daleko szybią nieścignione ptaki?
Czy dużo w lesie wilków? pewnie są baraki?

HRABINA.

Milordzie, bądź ostrożny. Ach, czyliś się zaciął,
By zbudzić przeciw sobie czujność nieprzyjaciół?
Od Pietra wiem ja o tem, że najęte zbiry
Czyhają na twe życie.

BYRON.

Niby dźwięki liry —

Tak mi brzmią twoje słowa. Lecz wszelka ostrożność
Jest dla mnie rzeczą wstrętną.

HRABINA.

Jednak to bezbożność —

Narażać się bez celu na niebezpieczeństwo.
A przecież sprawa nasza — nieprzeżyta gestwą
Tajemnic — otoczoną długi czas być musi.
W Wenecyi tu szpiegowie wszędzie są nie głusi.

BYRON.

Niewątpliwie masz rację. Posłucham cię, pani,
Ale niech mi powiedzą ci zamaskowani.
Co słychać, bowiem duch mój już się niecierpliwi.
Ci, którzy w grobie legli, niechaj wstaną żywi,
Niechaj jak lwy potrzásną twardemi łańcuchy.
Otworzy-ż się już oczy? Ożyły już duchy?

JEDEN Z KARBONARÓW.

Rzeczpospolita Cítta i Basilicada
Pokłon przesyła tobie i dzięki ci składa
Za twe dary — za strzelby oraz pugiwały —
I za twe złoto. Panie, duch się budzi śmiały,
I wszędzie już przeniknął w zmrok wilczego lasu.
Ale daleko jeszcze do przedświtów czasu.
Od pogan idzie ku nam straszna niespodzianka
Zginął od wilczych zębów mężny Capobianca,
Ale pomstę przysięgli zań dobrzy krewniacy:
Las oczyścimy z wilków. A nie szczędzim pracy,
By spokój był w barakach. Ty, lordzie szlachetny,
Prowadź nas.

BYRON.

Niedaleki już dzień zorzy świetlnej.

Pozdrowieni mi bądźcie. Wnet hukłem pioruna
Zabrzmi tu wszędzie wokół nasze hasło: U n a.

KARBONARY.

U n a! Niech żyje Byron.

HRABINA.

O, kiedyż nareszcie

Wybije ta godzina? — Bracia, wy jesteście
Jaskółki, co zwiastują odrodzenia wiosnę —
Kiedy spoglądam na was, serce me radosne
Podziwia waszą dzielność, wytrwałość, ofiarność —
Jak zorzę, która nocy przezwycięża czarność.

BYRON.

Słuchajcie słów mej pani, co ma postać dziecka,
Ale serce, jak mężna bohaterka grecka.
(Do Fanaryotów). Cóż powiecie?

JEDEN Z GREKÓW.

Witają ciebie Fanaryoty.

Zapala się nad Grecyą promienny świt złoty.
W góry uleciał orzeł Pentadaktylonu —
Zadrżał sep — bo się starło ostrze jego szponu —
Od twoich słów heloty poczuły w swych żyłach
Krew ludzi wolnych... Budzą się, rosną na siłach.
Dom bez gwiazd załamany. Milkną sepie zdrady,
Zmartwychwstaje przez ciebie duch starej Hellady.

BYRON.

Obyż z grobu powstała Grecya odrodzona!

A będzie to dzień święty na wszystkie plemiona.
Pójdziem, jak Leonidas — w trzechset mężów siłę —
Aby nanowo zdobyć święte Termopile.

Dalszy ciąg nastąpi.

W oczach Zachodu.

17

POWIEŚĆ.

Pokazało się, że pani de S... nie mogła znieść szwajcarskiej służby przy sobie, i nawzajem służba nie kwapiła się do Château Borel. To też brak jej uwidocznił się aż na zbyt wyraźnie w wiszących po kątach pajęczynach, i tu i owdzie zabłoconej, z białych i czarnych tafelek ułożonej posadzce.

— Doglądałam także tego kota — ciągnęła dalej „dama do towarzystwa”. — Cóż; zwierzęta mają swoje prawa, chociaż, prawdę rzekłszy, nie widzę powodu, dlaczego nie miałyby cierpieć tak samo, jak ludzie. Prawda? Ale zwierzęta nigdy tyle nie cierpią. To niemożliwe. Tylko, znowu, los ich w tem jest gorszy, że nie mogą zrobić rewolucyi. Ja bo byłam republikanką. Pani zapewne jest republikanką?

Panna Haldin przyznała mi się, że na razie nie wiedziała co odpowiedzieć. Skinęła tylko głową i zapytała z kolei:

— A pani już nie jest republikanką?

— Kto przez dwa lata pisał po dyktandzie Piotra Iwanowicza, ten już niczem być nie może. Naprzód trzeba siedzieć, jak mumia. Najlejsze poruszenie rozprasza myśli Piotra Iwanowicza. Człowiek ledwo śmie oddychać. A już, żeby odkaślnąć, Boże uchowaj! Piotr Iwanowicz przestawił stół pod samą ścianę, bo z początku, gdy czekałam, żeby dyktował dalej, kiedy sobie czasem przerwał, mimowolj patrzyłam w okno. To było zabawne. Piotr Iwanowicz mówił, że imam głupi wzrok. Niewolno mi było również spojrzeć przez ramię. Piotr Iwanowicz zaraz tupał nogą i krzychał: „Patrzeć na papier”. Podobno widok mojej twarzy doprowadzał go do pasyi. Ha! cóż. Wiem, że nie jestem piękną i że mam tępy wzrok. Ale, żeby już do takiego stopnia głupi, jak Piotr Iwanowicz powiada...

— Jakto?—zawołała panna Haldin. — Czy podobna, żeby Piotr Iwanowicz zachowywał się tak brutalnie względem kobiety? On! który jest takim zagorzałym feministą!

„Dama do towarzystwa”, poklaskała dyskretnie głową, poczem zapewniła panią Haldin, że mu tego nie brała za złe! Gdybyż tylko to! Ale co było nie do zniesienia to te tajemnicze twórczej pracy, na które musiała patrzeć, ta męka z jaką

wielki autor rewolucyjnych ewangelii szukał słów, by wyrazić swoje myśli.

— Ja jestem zawsze gotowa być ślepem narzędziem wyższych celów. Oddać życie dla sprawy to nic. Ale patrzeć, jak nasze najdroższe złudzenia rozwiewają się, jak mgła, o! to okropne... Doprawdy, nie przesadzam... Nieraz zdawało mi się, że mam kawał lodu pod czaszką; tembardziej, że zimą pracowaliśmy w nieopalonym pokoju, bo Piotr Iwanowicz chodząc ciągle tam i napowrót nie potrzebował sztucznego ciepła. Nawet w Południowej Francji bywają bardzo chłodne dni, zwłaszcza, gdy trzeba siedzieć sześć godzin bez poruszenia. Ściany w tych willach na Riwierze są tak cienkie. Piotr Iwanowicz, wcale się tego nie domyślał, że ja kosztuję z zimna, bo, co prawda, to tak zaciskałam zęby, że nieraz szczęki bolały. W takich chwilach, kiedy Piotr Iwanowicz przerywał dyktando, a zdarzało się, że chodził dwadzieścia minut za memi plecami po pokoju, mrużąc do siebie, myślałam, że zmarznę na śmierć. Ale choćbym też i dzwoniła zębami, to by nic nie pomogło. Ona jest bardzo skąpa w takich rzeczach.

Dziwna „dama do towarzystwa” spojrzała na schody. Kot skończył mleko i obcierał sobie wąsaty pyszczek o jej spódnice. Kobieta schyliła się i wzięła go na ręce.

— Skąpstwo jest raczej cnotą, widzi pani — ciągnęła dalej. — U nas tylko skąpcy mogą zbierać pieniądze na wyższe cele — nie tak zwane szerokie natury. Ale niech pani tylko nie myśli, że jestem sybarytką. Skądże? Ojciec mój był lichy płatnym urzędniczym w Ministerjum Finansów. Pojmuje pani, że się u nas nie przelewało, chociaż nie marziliśmy znowu z zimna. Widzi pani, ja uciekałam od moich rodziców, jak tylko zaczęłam myśleć samodzielnie. Takie myślenie nie jest łatwą rzeczą. Trzeba, żeby nam naprzód ktoś otworzył oczy na prawdę. Co do mnie, zawdzięczam moje zbawienie starej owocarce; która miała swój stragan w bramie domu, gdzieśmy mieszkali. Ach! jakaż to była poczołwa dusza! Taka dobra, przyjacielska. Raz, zaczęłam przypadkowo rozmawiać o dziewczynce zaczepiającej mężczyzn o jałmużnę

wieczorami, i tak stopniowo, poczęły mi się oczy otwierać na wszystkie okropności, jakie znoszą i cierpią niewinni ludzie, po to tylko, by rządy mogły istnieć. Skoro tylko zrozumiałam zbrodnię istnienia klas wyższych nie mogłam już żyć z memi rodzicami. W naszym domu, jak rok długi nikt nigdy litościwego słowa nie słyszał; nie mówiło się o niczem innem tylko o nikczemnych, biurowych intrygach, o pensjach, o awansach i nadszaskiwaniu zwierzchnikom. Wzdrygałam się na samą myśl, że mogłabym wyjść kiedyś za mąż za człowieka podobnego do mego ojca. Nie żeby była mowa o małżeństwie dla mnie. Zgoła się na to nie zanosilo. Ale czyż to nie było dostatecznym grzechem żyć za rządowe pieniądze, podczas, kiedy polowa Rosyi umierała z głodu? Ministerjum Finansów! Cóż to za ohyda! Jakgdyby zgłodniały, ciemny lud potrzebował jakiegoś Ministerjum Finansów! Ucałowałam więc moich starych i poszłam żyć w suterenach z proletaryatem. Staralam się być użyteczną ludziom zupełnie beznadziejnym. Pani rozumie co to znaczy. To znaczy tacy biedni, którzy nie mają gdzie iść i niczego się w życiu nie spodziewają. Pani pojmuje, jakie to straszne... niczego się w życiu nie spodziewać. Myślę czasem, że tylko w Rosyi takich ludzi i taką bezdenną nędzę znaleźć można. Otóż, pograżyłam się w niej, ale, wie pani, nie wiele tam się da zrobić. Tak; przynajmniej dopóki Ministerjum Finansów i temu podobne ohydy stoją na drodze. Byłabym chyba zwaryowała w daremnych walkach z tą gadziną, gdyby nie pewien mężczyzna. Biedna, światobliwa owocarka, moja stara mistrzyni i przyjaciółka wynalazła go dla mnie. Pewnego wieczora przyszła po mnie cichutka, spokojniutka, jak zawsze. Poszłam za nią nie pytając, bo ufałam jej ślepo, i bez niej mój duch byłby zmarniał. Ów mężczyzna był to młody robotnik, litograf z zawodu, zamieszany w sprawę tych związków wstrzeźmiewliwości, pamięta pani? Dużo ludzi popakowano wtedy do więzienia. Znowu Ministerjum Finansów. Cóżby się z niem stało, gdyby biedni ludzie zaprzestali zbydlęcać się pijaństwem? Słowo daje, że gotowabym uwierzyć, iż finanse i to wszystko inne są wynalazkiem dyabła; gdyby ludzie sami z siebie nie byli zdolni do wszelkiego złego. Finanse!

Nienawisć i pogarda zasyczały w jej głosie, gdy wymawiała ten ostatni wyraz; ona zaś w tej samej chwili łagodnie pogłaskała kota. Poczem, spojrzawszy na pannę Haldin

679

zaczęła przeproszać ją znowu, że nie prowadzi jej na górę do pani de S.. Ale dziennikarz pewno niezadługo wyjdzie; i najlepiej będzie pozostać w hallu, bo wszystkie te pokoje (obejrzała się na liczne drzwi), wszystkie te pokoje na dole są nieumeblowane.

— Ani jednego krzesła niema na dole — ciągnęła dalej — ale, jeżeli pani woli własne myśli, niż moją gadaninę, usiądę na schodach i będę milczeć.

Panna Haldin pospieszyła zapewnić ją, że przeciwnie, historia młodego litografa zajęła ją bardzo. Oczywiście, był rewolucjonistą.

— Męczennikiem — odrzekła „dama do towarzystwa“, z lekkim westchnieniem, patrząc sennie przez otwarte drzwi frontowe. Po chwili zwróciła swe zamglone, ciemne oczy na pannę Haldin.

— Mieszkaliśmy z nim przez cztery miesiące. Było to, jak sen.

I widząc, że panna Haldin patrzy na nią pytająco zaczęła opisywać wychudzoną twarz tego człowieka, jego nędzę i opuszczenie. Izdebka, do której ją zaprowadziła owocarka, była to okropna nora na poddaszu starego, cuchnącego domu. Tynk opadły ze ścian okrywał podłogę, a ohydne płachty czarnej papłuszki powiewały od przeciągu za każdym otwarciem drzwi. Co się tyczy tego młodego litografa, to uwolniono go przed kilku dniami — wyrzucono poprostu na ulicę.

I oto po raz pierwszy panna Haldin zapoznała się z dziejami jednostki należącej do tego zbiorowiska zwanego ludem, którego cierpienia i niedole bywały przedmiotem tylu rozmów pomiędzy nią a bratem w ogrodzie ich wiejskiego dworu.

Młodzieńca tego zaaresztowano wraz z wielu innemi litografami, zamieszkanemi w sprawę związków wstrzemięźliwości. Na mieszczenie policja uwięziwszy tylu podejrzanych chciała wydobyć z nich inne jeszcze wiadomości dotyczące się rewolucyjnej propagandy.

— Tak się nad nim pastwili podczas śledztwa — ciągnęła dalej „dama do towarzystwa“ — że mu podobiali wewnętrzności. Gdy z nim skończył był zupełnie zniedołężniałym. Zobaczyłam go, leżącego na drewnianym tapczanie, bez żadnej pościeli, z głową na kupie brudnych łachmanów, które z litości pożyczyl mu stary, na dole mieszkający gałganiarz. Drżał cały z zimna, nie mając się czem okryć, gorączka go piekła, a w izbie nie było nawet dzbanka z wodą, by mógł ugasić pragnienie. Nie było wogóle nic prócz tego tapczana i nagich desek.

— Jakto! w tem ogromnem mieszkaniu nie znalazł się nikt pomiędzy rewolucjonistami, któryby pomocną dłoń bratu podał? — zapytała panna Haldin z oburzeniem.

— Owszem! Ale to nie była jeszcze najstraszniejsza strona jego niedoli. Niech pani posłucha. Mówiłam już, że się tak okrutnie nad nim znęcali. Otóż na ostatku nie mogąc przenieść tych katuszy wygadał się z czemś. Biedaczysko; ciało jest mdłe i ułomne, jak pan, wie. Co to było, nie mogłam się nigdy dowiedzieć; ale to go złamało na duchu bezpowrotnie. Gdy go puścili zawlókł się do tej nory i tu znosił wyrzuty sumienia ze stoicyzmem, nie chcąc pójść do nikogo ze znajomych. Ja, byłabym poszła błagać o ratunek dla niego, ale gdzie? Wszyscy dokoła nas byli ofiarami; Ministerium Finansów. Wszyscy byli głodni i pijani. Niech mnie pani nie pyta, jakśmy żyli. Samabym nie umiała powiedzieć. Nie miałam nic do sprzedania; a odzież moja była w takim stanie, że w dzień nie mogłam wyjść na ulicę. Poprostu obrażałam przyzwoitość. Musiałam czekać aż się ściemni nim odważyłam się wyjść i wyżebrać jakiś kawałek chleba, lub ochłap jakiś, by jego i siebie utrzymać przy życiu. Często wracałam z pustemi rękoma. Wtedy kładłam się na ziemi przy tapczanie i zasypiałam głód. O! ja doskonale mogę spać na gołych deskach. Mówiłam pani przecież, że nie jestem sybarytką. Zresztą, wolę to stokroć, niż siedzieć godzinami przy stole w nieopalonem pokoju, i pisać po dyktandzie Piotra Iwanowicza. Sama pani się przekona; więc niema o czem mówić.

— Ależ ja wcale nie myślę pisać po dyktandzie Piotra Iwanowicza — rzekła panna Haldin.

— Nie? — wykrzyknęła tamta niedowierzająco. — Naprawdę? Pani się jeszcze nie zdecydowała?

A gdy panna Haldin zapewniła ją, że nigdy nie było mowy pomiędzy nią a Piotrem Iwanowiczem o żadnem dyktandzie, dama do towarzystwa zesnurowała usta i przycisnęła kota do piersi.

— O! to wszystko jedno. Ani się pani spostrzeżesz, jak usiądziesz przy stole. Można się rozczerować co do Piotra Iwanowicza, gdy się pisze po jego dyktandzie, a swoją drogą to człowiek genialny i oprócz mu się trudno. Pani twarz z pewnością drażnić go nie będzie; może nawet ułatwi mu natchnienie. Tak; im lepiej się pani przypatruję, tem pewnością jestem, że z panią pójdzie mu, jak z płatką.

Panna Haldin uznała za właści-

we nic na te przewidywania, nie odpowiedzieć.

— A ten młody robotnik... czy umarł? — zagadnęła po chwili milczenia.

Dama do towarzystwa, która zaczęła nadluchiwać ku górze, gdzie teraz dwa głosy rozmawiały z pewnem ożywieniem, nie zrazu nie odrzekła. Dopiero, gdy ta krewka wymiana zdań przycichła, zwróciła się ku pannie Haldin.

— Tak — umarł; chociaż ściśle mówiąc nie na moich rękach. Widzi pani; spałam, gdy wydał ostatnie tchnienie. To też i teraz jeszcze nie mogę powiedzieć, że bym widziała kiedy umierającego człowieka. Na kilka dni przed jego śmiercią paru rewolucjonistów dowiedziało się o nas. Nie mogli odzłować, że tak późno; i mówili, że powinien był mieć więcej ufności w swoich politycznych przyjaciółach. Lubiano go i szanowano przedtem i nikomu nie byłoby się śniło wyrzucać mu, że nie umiał milczeć do końca. Wszyscy wiedzą przecież, co policja potrafi wyrabiać z człowiekiem, i najsilniejsi ludzie mają chwile słabości wobec męczarni. Sam głód wystarczy, żeby człowiekowi popłatać w głowie. Tak więc przyszedł doktor; i materyalnie nasz polepszył się; ale on biedaczysko był niepokieszony. Pokochałam go serdecznie, ale wie pani, że nie miałam siły płakać. Sama byłam ledwo żywa. Dobrzy ludzie zaopiekowali się mną. Ubrano mnie, odkarmiono; a po pewnym czasie rewolucyoniści umieścili mnie u pewnej żydowskiej rodziny, wyjeżdżającej zagranicę, jako guwernantkę. Cóż; mogłam uczyć dzieci. Skończyłam gimnazjum; ale w danym razie chodziło o to, że bym przewiozła ważne papiery przez granicę. Dano mi paczkę, którą ukryłam na piersiach. Żandarmi ani pomyśleli podejrzewać żydowską guwernantkę, gorliwie zajęta dziećmi. Czy ci hebrajczycy wiedzieli sami, jak się rzeczy mają, tego nie umiem powiedzieć; ale myślę, że nie, bo zarekomendowały mnie tam osoby wcale do rewolucyjnego ruchu nie należące. Oczywiście, że polecono mi żądać bardzo marnego wynagrodzenia. Gdyśmy przyjechali do Niemiec rozstałam się z tą rodziną; papiery wręczyłam pewnemu rewolucyoniście w Stuttgarcie i odtąd posługiwano się mną rozmaicie. Ale to już do rzeczy nie należy. Dość, że jestem tu, jak mnie pani widzi i żyję nadzieją, że kiedyś wszystkim tym ministeryom przyjdzie na koniec. To też ucieszyłam się, jak nigdy, gdy się dowiedziało, co brat pani uczynił.

Dalszy ciąg nastąpi.

Wojna a państwo kościelne w roku 1860.

Nierówna walka państwa kościelnego z wojskiem króla Piemontu i Sardynii, twórcy Włoch nowoczesnych, na stronach pracy ks. Nikodema Cieszyńskiego jaskrawo mówi o r. 1860, który ugruntował sławę Cavoura. Wojska papieskie zostały prędko pobite, choć nimi dowodził słynny generał de Morcière. W bataliach tych brali też udział polacy. Ks. Cieszyński nawet całą swoją pracę oparł na niewydanym pamiętniku J. Jezierskiego, żołnierza, który bronił Ankony. Dzięki tym pamiętnikom „wojnę o państwo kościelne” widzimy przez pryzmat osobistych wrażeń p. Jezierskiego, które są nadzwyczaj interesujące i pouczające. Książka ta zasługuje na szeroką poczytność.

Porozbiorowe dzieje Polski.

P. Jadwiga Nowowiejska podług wskazówek prof. Henryka Mościckiego napisała „Porozbiorowe dzieje Polski”. Wstęp napisał sam prof. H. Mościcki, który, jak wiadomo, kilkakrotnie zmuszany był do powtarzania publicznych prelekcji na ten temat. Prelekcje te cieszyły się wielką frekwencją. Prof. Mościcki o pracy p. Nowowiejskiej mówi:

„Brak zwięzłego zarysu dziejów porozbiorowych zachęcił autorkę niniejszego do podjęcia trudnego zadania. Nie występując w roli krytyka przeszłości, daje ona jedynie w formie przystępnej sumaryczne zestawienie faktów, których prawdziwość i ocena nie ulega poważniejszemu kwestionowaniu ze strony badaczy”.

Jednym słowem, praca p. Nowowiejskiej zasługuje na szerokie spopularyzowanie.

Pobojowisko.

Echa walk legionowych zamknął w tomie swoich nowel, sylwetek i opowieści p. Bolesław Zygmunt Lubicz, młody poeta i żołnierz I Brygady wojsk polskich. Tom jednak rozpoczyna opowieść z lat rewolucyj: walka bojowca, co trwał na posterunku polskiego żołnierza, nim zawezwał go do szeregu rozkaz mobilizacyjny Piłsudskiego. Nowele p. Lubicza są nastrojowe, ton liryczny rozsądza ramy każdej fabuły i przeistacza ją w spór oryginalnych i ciekawych wizji. Stosunkowo najbardziej wykończoną artystycznie rzeczą jest szkic p. t. „Legenda o życiu i śmierci żołnierza”. Rzecz ta jest biografia poległego w bojach porucznika Mikołaja Szyszłowskiego. Umiał jednak autor ożywić tak suche fakty swoją swadą, że czyta się je z dużym napięciem uwagi. W tomie tym znajdują się też „Okopy kocmyżowskie”, które w roku zeszłym drukowaliśmy na łamach naszego „Romansu i Powieści”.

Tom nowel p. S. M. Kraszewskiej p. t. „Olea fragrans” zaleca się pastelowością tonu. Rzewny sentyment otula wszystkie te opowieści. Zbysław im na wyrazie — ale liryzm autorki czyni wiele wysiłku, by zainteresowanie wzbudzić i utrzymać napięcie uwagi czytelnika. Tematy obracają się stale koło kruchości szczęścia ludzkiego. Najwyraźniej motyw ten występuje w opowieści „Jesiennia”. Po latach spotyka „błada pani o zmęczonej twarzy” człowieka, z którym przemarzyła wiosnę swego życia. Dziś jest ona sławną artystką, a on do brze sytuowanym adwokatem, mieszkającym w pałacu z marmuru. Wspomina sobie dawny sen na jawie. Życie poniosło ich na swej fali w dwie przeciwległe strony: spotkanie po latach nie wróci snów. Rozstaną się znów, by dalej czuć nędzę ludzkiego istnienia i myśleć o niezrealizowanych marzeniach.

Ten ton smętnej zadumy przewija się przez cały tom opowieści p. Kraszewskiej. Kogo interesuje zwienny świat delikatnych złudzeń ludzkich i marzeń niezrealizowanych, ten napewno przeczyta książkę p. Kraszewskiej z przyjemnością.

Luźne kartki ze wspomnień uniwersyteckich.

Stary dorpatezyk spisał wspomnienia swoje uniwersyteckie i opatrzył je spisem kolegów, którzy również studiowali na tej wszechnicy. W girlandzie nazwisk znajdujemy imiona zasłużone na polu literatury i nauki ojczystej, co jest najlepszym świadectwem zasługi dla uniwersytetu dorpackiego. Wspomnienia mówią jednak więcej o stronie obyczajowej życia młodzieży w tem niemieckim mieście. Figlowano, urządzano różne brewerye, ale nie kończyło się na tem zajęcie naszej młodzieży, bo jednak wyrosły pokolenia dzielnych pracowników, a nawet bojowników o polskość. Stary dorpatezyk cytuje interesujący szczegół między innymi o Weyssenhoffie, który również tu studiował i na ławie uniwersyteckiej pisał już sztuki spektaklowe dla swoich kolegów. Weyssenhoff występował też, jako aktor. Książka złożona z „luźnych karteek” czyta się bardzo zajmująco. Dla historyka posiada też wartość, gdyż wiele w niej zawarto szczegółów o życiu uniwersyteckim, o aktywności „dziejateli-obrusiteli”. Ciekawe też są obserwacje autora.

Fragment z pamiętnika.

Gustaw Daniłowski należy do rzędu tych pisarzy, którzy zdobyli sobie zainteresowanie szerokich kół czytelników. Jego swada pisarska pochwytuje uwagę i daje miłe złudzenie śnienia na jawie. I to nawet wtedy, gdy opowiada rzeczy najzwyklejsze, gdy opisuje dzień za dniem, „fragmenty” z czyjegoś „Pamiętnika”. Zabawny i szczerze tragiczny jest też laureat G. Daniłowski.

Pusty urzędniczy, pragnący przez rozgłos swych nowelek zdobywać sobie szczyble w hierarchii życiowej. Otrzymuje on nagrodę za dramat. Dramat ten przez nieporozumienie na sędzie konkursowym pada w scenicznej realizacji. Pusty urzędniczy, chcący wyjechać w karierze na tom swoim szczęściu chwilowym, traci głowę i kończy samobójstwem.

Obserwacje Daniłowskiego są bardzo dosadne. Sposób widzenia duszy takiego indywiduum G. Daniłowski uchwycił doskonale. Czyta się też książkę autora „Jaskółki” z dużym zainteresowaniem. W tomie tym znajdują się też nowele: „Policzek”, „Nad urwiskiem”, „Rien n'a va plus” i „Humoreska”.

Erotyki.

P. Henryk Juskiewicz wydał tom wierszy swoich, dając im wspólny mianownik „Erotyki”. Siła wybuchowa jego śniei erotycznych nie jest bezpośrednią. To raczej drobne uwagi na marginesie marzeń o kobiecie. W kwestii formy p. Juskiewicz uprawia zupełną melodykę. Nie nagina się do żadnego kunsztu. Chce przez samą płynność wydstać efekty artystyczne, co zresztą często udaje mu się w zupełności. P. Juskiewicz nie powinien być tylko zezwolić, by zamieszczono na wstępie uwagi księgarza, które przecież, jako reklama dla zbioru, mają wartość problematyczną. Należało poprzestać na liście K. Tetmajera — jeżeli wogóle tego rodzaju forma artystycznych poleceń posiada rację bytu. Najlepiej, jak dzieło mówi samo za siebie. W przeciwnym wypadku wszelka reklama jest niedźwiedzią przysługą dla każdego prawdziwego początkującego artysty. Do zbioru załączono też dobrą reprodukcję fotografii H. Juskiewicza.

Sienkiewicz.

P. Stanisław Cywiński wydał w Wilnie aktualną, pełną jednak głębszych spostrzeżeń i odczuć rozprawkę o Sienkiewiczu. Rozprawka ta wprowadza w nurt pracy wewnętrznej Sienkiewicza, pokazuje jego ideały, omawia twórczość na tle jego czasokresu. Jako przewodnik, może oddać dobrą usługę i to tym bardziej, że pisana jest przystępnie i jasno, choć autor często polemizuje z Sienkiewiczem, co wygląda dość dziwnie. Już Brzozowski polemizował z Sienkiewiczem. Echa te powtarzają się w pracy p. Cywińskiego.

Istota katolicyzmu.

Ks. dr. Stefan Żelazowski, proboszcz z Osuchowa, wydał apologetyczną broszurę p. t. „Istota katolicyzmu”. Jest to praca pełna interesujących uwag o życiu współczesnym i stosunku katolicyzmu do przejawów społecznych, ale została ona częściowo oparta na książce H. Couget'a „Le sens catholique”.